



## PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

### Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

### Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG**

EKSPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

## POGA WĘDKA.

Zatraciliśmy różnicę jaka zachodzi pomiędzy uczciwością a cnotą; zepsuci tak dalecy jesteśmy, że każdy uczynek prawy, który niczem innym nie jest, jak tylko codziennym obowiązkiem człowieka, nazywamy *niezwykłą* uczciwością, a nawet, jako curiosum, podajemy do wiadomości ogólnej. Niezwykłości w tem niepowinno być żadnej, granic jej dosięga tylko cnota, która wychodzi za obręb obowiązków i czyni nadto, niż to, co jest jej powinnością. Dłużnik wypłacający sumiennie grosz wypożyczony, choćby do tego niepisaniem nawet zobowiązał się słowem, znalazca cudzej zguby i oddający ją prawemu właścicielowi bez przyjęcia wyznaczonej nagrody, mąż, dochowający wierności dozgonnej swej towarzysze życia—niczem innym nie są, jak ludźmi tylko uczciwymi, niemającymi prawa do żadnego rozgłosu, do uroszczeń, by ich postęпки chrzezono podniosłem mianem cnoty. Niezwykłości w tem niema, przynajmniej być nie powinno, jeżeli zaś podobne czyny wzbudzają w nas podziw, to nie dla tego, by były godne podziwu, tylko, że poziom nasz moralny obniżył się straszliwie, że zatraciliśmy, jak rzekłem powyżej, różnicę pomiędzy zwyczajną uczciwością a wyższym jej stopniem.—noszącą już znamię niezwykłości.

Nie dziwimy się przeto dziennikom, choć pewien smutek czujemy w sobie, że uznały za stosowne podać do wiadomości publicznej jeden fakt z życia p. Trécul, botanika, zmarłego w Paryżu, który złożył na krótko „przed zgonem“ dowód owej *niezwykłej* uczciwości.

A rzecz się tak miała:

„Wysłany przez ministeryum oświaty do Stanów Zjednoczonych w celach naukowych otrzymał sub-

wenę w ilości 10,000 franków. Podczas podróży wydał 7,445 fr. Jakież było zdziwienie jednego z urzędników, gdy odniósł mu pozostałe 2,505 fr. Uwaga, że może sumę tę zatrzymać, nikt bowiem nie będzie go kontrolował, wywołało w nim wielki gniew i naraziło urzędnika na wysłuchanie monologu na temat uczciwości. Rozumie się (trzeba pisać: ma się rozumieć) że Trécul nie ustąpił i że suma wpłynęła do kasy ministeryum.“

To wyczytaliśmy w jednym z dzienników i ten to właśnie postępek paryzkiego botanika nazwano—*niezwykłą* uczciwością, gdy on był tylko zwyczajnym obowiązkiem prawego człowieka. Ale się świat popsuł, popsuli się ludzie, zmieszały się pojęcia, cnoty gdzieś błądzą na rozstajnych drogach, powszedni chleb prawości nie jest codzienną strawą dzisiejszych synów ziemi.

Smutno!

Ale nie! — Pocieszam się, uprzytomniając sobie w myśli kilka faktów podobnych, których jednak nie stawałem w rubryce czynów niezwykłych. Jako więc rzecz zwyczajna nie utkwiły mi zbyt ostro w pamięci, dopiero podniesiony uczynek p. Trécul'a przypomnieli mi o nich. Pozwolą, szanowni czytelnicy, że z wiązanki faktów wybiorę dwa tylko: *pierwszy*, nieprzekraczający szranków obowiązkowej uczciwości, *drugi*—zadziwiający niezwykłością swoją, przekraczający już granice cnót niecodziennych.—Przytaczam oba, dla przedstawienia różnic jakie zachodzą między obowiązkowością a pojęciem wysokiej enotliwości. Nie wymieniam nazwisk: zwykłego śmiertelnika i bohatera, bo do tego nie mam prawa.—Za oba fakty ręczę

Jeden z literatów, otrzymujący rodzinę z pracy swych, znalazł się w ciężkiej potrzebie; miał, jak to mówią, nóż na gardle. Wykończył pewną, jednotomową pracę, z którą się udał do wydawcy X. i rzekł, nieowijając nic w bawełnę:—„Okoliczności są takie a takie, potrzebuję pieniędzy na gwałt. Bierz pan moją pracę składającą się z przeszło 8,000 wierszy za sumę 190 rs. i drukuj w swem piśmie.

Prawo odbitki zastawiam równie panu, tylko żądaną przezemnie sumę wypłać natychmiast.“—Pieniądze zostały zaraz wręczone autorowi, praca jego ukazała się w piśmie N.

Dnia pewnego wydawca X. spotyka autora tylko co wydrukowanej pracy.

— A—dobrze, że pana widzę—rzecze—z dzieła pańskiego pozwoliłem sobie zrobić odbitkę, mając nadzieję, że o należność za nią umówimy się z łatwością. Jakie są żądania pańskie?

— Żadne!

— Przecież za darmo nie mogę korzystać z pracy pana?

— Odstąpiłem ją panu wraz z prawem książkowego wydania.

— Nic o tem nie wiem.

— Ale ja wiem.

— Przepraszam pana, ja nie pamiętam.

— Dla mnie pamięć moja wystarcza.

Umowa była słowna załatwiona w ciągu minut kilku, wydawca rzeczywiście nie pamiętał nic o ustępstwie,—może nie zauważył nawet, że to ustępstwo było zrobione — ale autor pamięć miał dobrą i sprzeniewierzyć się swojemu słowu nie mógł. Dyskusya była zamknięta.

Postępek autora jest całkiem naturalny; zwykła, codzienna uczciwość—nie nadto. Że zapamiętał to pan X. i, nie chcąc korzystać z ustępstwa, o którym nie wiedział, przy innej okoliczności wynagrodził to w sposób nieubliżający godności autora—to już do rzeczy nie należy.

Teraz fakt drugi, przechodzący granice obowiązku:

S. p. znany poeta i powieściopisarz Stanisław Grudziński, otrzymał list od pana R. posiadacza niewielkiej fortuny pode Lwowem, list, który własnie czytałem oczyma, a brzmiał mniej więcej w te słowa.

„Po śmierci ojca, stałem się spadkobiercą jego majątku. Przejierając ojcowskie papiery, znalazłem stary kalendarz, w którym, przed trzydziestu

aty ręką rodzica znalazłem napisane te słowa: „Winiem Kazimierzowi Grudzińskiemu z Wodzianu (gub. Kijowska, powiat Zwinogradzki) 600 talarów.“ „Po długich poszukiwaniach, dowiedziałem się, że pan jesteś synem s. p. Kazimierza. Posyłam więc panu weksel na sumę mu należną z zaliczeniem procentów od lat 30, przepraszając, że w tej chwili uiścić się z długu nie mogę. Za rok, od daty dnia położonej na obliżu, jestem na usługi pana.“

W liście znajdował się formalny weksel.

S. p. Grudziński nie o tej należności nie wiedział. Ojciec mu o niej nie wspominał, żadnych zresztą śladów nie było, że jakiś p. R. cokolwiek bądź był winien s. p. Kazimierzowi. — Po upływie roku udał się do Lwowa i całą sumę z procentami za lat 30, odebrał. Pytany przeze mnie, kto jest ten p. R. taką mi opowiedział historję:

„W kalendarzu starym, p. R. spadkobierca niewielkiej wioseczyny po ojcu swoim, znalazł wypisany szereg cyfr pożyczonych tu i tam pieniędzy. Notatki były krótkie: „Tyle, a tyle, dnia i roku tego a tego, od p. A. B. C. pożyczyłem.“ — Gdzie nie gdzie notatka została przekreślona, a z boku położony nadpis: zapłacono! — większość jednak przekreślona nie była, a daty niektóre sięgały nieraz lat pięćdziesięciu, żadnych wekslowych długów na majątku nie było, ale dla p. R. ten kalendarz starczył za wszystko. Przekreślone przez ojca nieboszczyka należności usunął — nieprzekreślone uznał za ważne. Mniejsza, że nikt się nie upominał, że wzywani kredytorowie, a właściwie spadkobiercy rzekomych kredytorów, nie a nie o żadnych należnościach nie wiedzieli — pan R. nie chciał obarczać niezem pamięci ukochanego ojca. — Nie przekonywały go zdania sąsiadów: „nie upomina się nikt, może zresztą te wszystkie długie powyplacane zostały — ojciec tylko na marginesie zapomniał o tem napisać.“ — p. R. chciał w sumieniu własnym być spokojny. Majątek sprzedał, wypłacił wszystko z procentami zdziwionym kredytorom, sam zaś znalazł miejsce przy drodze żelaznej Karola-Ludwika.“

Pytanie: jak nazwać podobny postępek pana R.?

— Dziwaetwem!

— Nie — niezwykłą uceziwością tylko.

Droższą mu było niepokalana pamięć ojca, nad groszarny. Ojciec ten był człowiekiem dobrej wiary, gdy mu dawano grosze — na słowo, a on, dla pamięci tylko własnej, wzięte pieniądze notował na karcie kalendarza. Spłacił wszystko, czy nie — syn nie nie wiedział. Były ślady uiszczenia się z należności, były i nieprzekreślone pozycje. Nieupominanie się lub prawo przedawnienia nie obchodziły w tym wypadku pana R. — Nad to wszystko było wyższą uceziwość jego.

Tak! uceziwość to nie codzienna, nie obowiązująca... i dla tego wydaje się dziwną, chorobliwą nawet, jak kto chce zresztą. — Lecz taka tylko może wprowadzić nas w pewien podziw, nie — bardzo naturalny postępek p. Trécul lub wspomnianego wyżej autora. Czyn p. R. jest wyjątkowym, nad czynami ostatnich przechodzimy do porządku dziennego.

Słoneczna i ciepła jesień trwa ciągle, ale poranki już tezną chłodem i ani spostrzeżemy się jak mróz zetnie ziemię, a białe płatki śniegu zapruszą błękity. Korzystając jednak z tych dni pogodnych, roboty miejskie trwają w całej sile — rozszerzają się chodniki, wygładzają się bruki, słowem, Warszawa wypięknia się i wypięknia. Kwestya tylko przeniesienia Szpitala Dzieciątka Jezus, jak duch zaklęty, tłucze się wciąż na łamach dzienników, coraz to nowe powstają projekty i ostatecznie Pan Bóg raczy wiedzieć, jak będzie. W dziennikach czytamy, że sprawa wyboru placu pod budowę nowych gmachów szpitalnych zdaje się być ostatecznie załatwioną, mimo to, pojawiły się głosy obywateli Saskiej kępy, pomiędzy którymi jest kilku, którzy wyrazili chęć sprzedaży pod niskiej cenie swoich kolonij pod budowę szpitala. Jest też i magistrat posiadaczem kilku włók ziemi na wyspie od strony Pragi, w przyszłości i most do miasta ją przybliży, a po zabezpieczeniu bulwarem tej miejscowości od zalewów, wszystko będzie w należyтым porządku. Zarząd zaś nad plantacyami miejskimi, który dużo trudów położył na zadrzewienie dzisiejszego placu wystawy, nie rad jest na jego przestrzeni widzieć gmachy, szpitalne; — piękne drzewka musiałyby być zniszczo-

ne, zniszczona też szkółka prosperująca tak dobrze. My jedno wiemy tylko, że kliniki, przez wzgląd na młodzież uniwersytecką, nie powinny być zbyt oddalone. Zwracające na to głosy naszej prassy czy wzięte zostały pod uwagę — nie wiemy. A to jest rzecz zbyt ważna, nad którą zawczasu pomyśleć by wypadało.

Podnoszono parokrotnie w pismach naszych sprawę widowisk teatralnych dla młodzieży płci obojga, złożonych ze sztuk, których słuchać można — bez zarumienienia. Myśl tę obecnie porusza w „Kraju“ Maryan Gawalewicz z powodu otwarcia sezonu jesiennego w Teatrze Rozmaitości.

„Sezon jesienny w Rozmaitościach — mówi autor Szubrawców — rozpoczął się bardzo właściwie pod firmą starego Fredry; dano nieśmiertelne „Śluby panieńskie“ i wznowiono. „Nikt mnie nie zna“ przy szczerlnie zapełnionej sali. Patrząc na te łoże zapełnione samemi pączkami panieństwa i młodości, miałem wrażenie jakiegoś „Theatre blanc“, który mógłby się dzisiaj równie dobrze przydać w Warszawie, jak w Paryżu, aby było gdzie prowadzić dorastające córki.“

Myśl dobra, nikt temu zaprzeczyć nie może, ale że z wykonaniem jej poczekamy latka całe, to także jest niedającym się zaprzeczyć pewnikiem.

Nie idzie jednak za tem, ażebyśmy myśl podaną przyjęli do wiadomości tylko, pochwalili, pokiwali poważnie głowami i na tym wiele znaczącym geście zakończyli jej uznanie. Jeżeli nie możemy zrobić tego, co chcemy, to zrobimy to, co w danej chwili nie przekracza możliwości naszej. Owe twarzyćki dziewcząt, okraszone rumieńcem niewinności, powinny bezwarunkowo zająć myśl naszą, byśmy jak najdłużej mogli je ochronić od rumieńców, pochodzących ze zbyt wczesnej świadomości brzydkich stron życia. Ale najbielszy teatr nie ochroni od tego sere i dusz dziewiczych, jeżeli, nad tak zwanymi, publicznymi zabawami nie rozciągniemy właściwej kontroli. Zabawa taka, czy to jej celem będzie wspomnienie kassy aktorskiej, czy co innego, ponieważ odbywa się na Dynasach lub w innej miejscowości, — a z powodu rozmaitości programu, jest wielce nęcącą, — młodzież garnie się do niej ochotnie, boć to przeważnie dzieje się w miesiącach letnich, pod osłoną błękitów. Którażby matka nie wzięła swojego podlotka, którażby odmówiła natarczywym jego prośbom? — Tymczasem na owych zabawach, dają się słyszeć z estrady dyalogi, które człowiek poważniejszy z niesmakiem słucho, panna się rumieni, a młode dziewczę zapytaniai swojemi w nie mały wprowadza kłopot matkę czy opiekunkę. Reformę potrzeba zacząć od tych zabaw na cele; oczyścić tam grunt nasamprzód, bo na „teatr biały“ nie zdobędziemy się zbyt rychło.

Ze mniejszającymi się coraz bardziej dniami jesieni, powiększa się, jak zwykle, ruch wydawniczy. Nie możemy mówić o wszystkich książkach, bo nie wszystkie mamy u siebie, nie wszystkie przejrzelisny zresztą. Pierwsze miejsce pomiędzy niemi zajmuje oczywiście trylogia Sienkiewiczowska, wydana przez p. Wawelberga. O znaczeniu tego wydawnictwa zbytecznym byłoby mówić; — mieć „Potop“ „Ogniem i mieczem“ i „Pana Wołodyjowskiego“ za rubli dwa — to dość! Wydawnictwo trylogii nie zarzućci prawie, nie możemy; druk ścisły, lecz czytelny, papier niezły, oprawa ładna. Do nowszych wydawnictw należą: „Ramayana“ poemat staroindyjski, przełożony przez p. Antoniego Langego, według francuzkiego opracowania p. Hipolita Fauche, wydany układem Paprockiego i S-ki; „Kłeska“ powieść Kazimierza Glińskiego, nakładem znanej firmy Gebethuera i Wolfa; „Wieczory artystyczne - literackie“ — zebrane i ułożone przez Karola Hoffmana; „Mozajka Wilcza“ przez Konrada Machezyńskiego z portretem autora i rysunkami T. Ryszkiewicza oraz nakładem Akademii umiejętności — „Hoene-Wroński, jego życie i prace przez S. Dicksteina.“ — Przebieżmy pokrótce wspomniane tylko co dzieła.

Ramayana, pełen życia i fantazyi poemat staroindyjski, którego autorstwo przypisuje się Valmikiemu — spolszczony został przez znanego, a wytwornego poetę Antoniego Langego. Tłumacz wywiązał się z zadania doskonale — bo też poeta tylko tej siły, może podobnej rzeczy dokonać. Nie potrzebujemy zdaje się mówić, że poemat podany nam

został w prozie, skrócony znacznie, a właściwie oczyszczony z dodatków i różnego balastu nie dających mu piękności, zaciemniających tylko myśl główną. Piękna, potoczna proza Langego wynagradza sownie brak rymów; artystyczna miara ochrania nas od znudzenia. Snuje się bajka piękna, jedna z tych tysiącznych nocy, w jakie bogaty jest Wschód daleki.

O „Kłesce“ Glińskiego, nie mamy nie prawie do powiedzenia, — znają tę powieść czytelnicy „Bluszcza.“ Dodamy tylko, że w książkowym wydaniu autor ją wypełnił czy uzupełnił.

„Wieczory artystyczno-literackie“ Hoffmana są zbiorem monologów, dyalogów, scen, fragmentów, monodramów, obrazków humorystycznych i dramatycznych, poezyi i wierszy do deklamacyi. Zbiorek przedstawia się bardzo dobrze, ale, zdaje się, że są nowością w podobnego rodzaju wydawnictwach wskazówki załączone do każdego wiersza, jak potrzeba obchodzić się z głosem, jaką mu intonacją nadać, by dźwięk jego odpowiedział wyrażonemu uczuciu, był zgodny z treścią deklamawanego utworu. Nie znający prawideł deklamacyi, wiele z tych wskazówek skorzystać mogą.

Nie każdemu wiadome jest nazwisko Konrada Machezyńskiego, którego podobizna na czele „Mozajki Wilczej“ przedstawia go nam jako człowieka nie pierwszej młodości. Nie wiele i my powiadać o nim możemy, chyba to tylko, że przed laty wydał „Listy żelazne“ i jako autor tych listów został zapisany u Estrajchera. „Mozajka Wilcza“ czyli wspomnienia myśliwskie, nie są pozbawione interesu; płaczą się w niej razem humorystyczne i dramatyczne sceny, codzienne życie dawnej szlachty, polowania na wilki i sekrety łowieckie. „Mozajka“ nie stanowi powieściowej całości — są to luźne notatki, niepozbawione jednak pisarskiego talentu. Daje się czytać z przyjemnością, tem bardziej, że pisana jest czysto polskim językiem.

Nie wiele możemy powiedzieć i o „Hoemem Wrońskim“ Dicksteina. — Za poważna to książka, ażeby ją zbyt można kronikarską tylko wzmianką. Rzecz, w zakres której wchodzi filozofia i matematyka takiego potentata, jakim był Wroński — wymaga szczegółowego rozbioru, doskonałej znajomości prac mędrca, czem się pochwalić nie możemy. Nim więc specjaliści wypowiedzą zdanie swoje o dziele Dicksteina, my poczytujemy mu tylko za zasługę, że z mroku zapomnienia wydobyl tę postać olbrzymią i przemówił do nas jego czynami i życiem.

Dziwnie się plecie na tym głupim świecie: pożyteczna wystawa higieniczna zakończyła swój żywot niedoborem 20,000 rs., a nikomu niepotrzebne wyścigi końskie chwalą się dwóchkroć stotysięcznym zyskiem. I co to mówić o bezużyteczności mokotowskiego pola? — Sława warszawskiego totalizatora obita się aż o Kijów daleki: „Nie dorosłiśmy jeszcze do was“ piszą ztamtąd — a ja im z całego serca posyłam życzenie: — „Nie dorastajcie!“

— Co słyhać o panoramie Tatr? pyta mnie ktoś nagle.

— Cicho — zupełnie cicho. — Ale — maluczko, — a otworzą się nam wrota prowadzące do czarodziej-skiej krainy.

Na Dynasach już stoi gmach wykończony, w ogrodzie dawnego pałacu Tarnowskich wzniosła się po nad dachy sąsiednich kamienic wspaniała rotunda, gdzie mieścić się będzie panorama Golgoty. Na dziedzińcu pałacu hr. Józefa Potockiego niepozostał już ślad najmniejszy dawnego budynku z Wystawy Sztuk Pięknych.

Data 14 Października, rażony chorobą serea, przeniósł się do wieczności s. p. Franciszek Martynowski, znany archeolog, urodzony w r. 1848 w Bolicowie, z ojca Szymona ziemianina. Martynowski ukończywszy szkołę w Piotrkowie w r. 1870 przeniósł się do akademii krakowskiej, na wydział filozoficzny. Działalność swoją pisarską rozpoczął w Krakowie, redagując „Włoszianina i Zagrodę“, później czas krótki bawił we Lwowie, zasilając pracami swojemi niemal wszystkie miejscowe pisma. Ulubionym jego przedmiotem badań była archeologia — na tem polu pracował dużo i wiele artykułów w samych czasopismach zamieszczał. Gdy w r. 1880 Wilanowski zaczął wydawać „Przegląd Archeologiczny“ s. p. Franciszek był jego głównym kierownikiem, w r. zaś 1886 powołany został do

uzupełnienia i skorygowania „Starożytnej Polski“ Balińskiego i Lipińskiego. Znakomity estetyk pozostawił po sobie cenne dzieło, p. t.: „Na przełomie sztuki polskiej.“—Jemu też głównie zawdzięczamy ochronę od zagłady niejednej cennej pamiątki przeszłości, w obronie tych zabytków występował zawsze, karcąc ostro zacheianki barbarzyńskie. Od dwóch lat, wyniosłszy się z Warszawy, mieszkał w Częstochowie, gdzie śmierć go na posterunku zastała: pracował bowiem nad ułożeniem katalogu skarbcza jasnogórskiego. Wiele prac niedokończonych zostało po nim w rękopisach—między innymi „Wzory stylowe do sztuki polskiej.“ Życie nie słało się mu różami—ciężka walka o chleb nadwyrężyła zbyt wcześnie siły—choroba serca dokonała resztę.

Zbliża się dzień zaduszny, święto umarłych. Zapłoną światła na grobach, kolumny i krzyże ubiorą się w kwiaty i wieniec—z szmerem opadających liści szept modlitw popłynie...

??

## W DNIU ZADUSZNYM.

DO MATKI.

**T**y wdychasz mateczko? Ach, odetchnij wolno,  
Tu dobrze, swobodnie, anielsko dni cieka,  
Tu żadną się pracą nie trawim mozolną  
I każdy pył ziemski tu od nas daleko!...

Ty płaczesz, mateczko? O, gdybyś wiedziała,  
Jak przykra łza matki nawet dla anioła,—  
To uśmiech spokoju na ustach byś miała  
I starłabyś tęskność z poblądłego czoła.

Ty myślisz najdroższa, żem pączek zerwany,  
Co pełen był barwy i czarów i woni,—  
Żem śpiew harmonijny, lecz niedośpiewany,  
Żem perłą ukrytą w oceanu toni...

Tak matko! Lecz pączek Bóg zerwał,—nie ludzie,  
Tu lepsza dlań strefa,—tu woń nie zwietrzeje.  
Jam perłą, bo w ziemskim nie kalam się brudzie,  
Jam pieśnią, co Pańskie opiewa tu dzieje.

Ach, nie płacz o, matko, że skarb ci wydarto,  
Żeś gródką go ziemi na wieki zakryła;—  
Za nędzną powłoką, czyż boleć tak warto,  
Wszak ducha mojego nie kryje mogiła.

On czysty, jest żywym odbiciem dziś Boga,  
U Niego kosztując wszech doskonałości,  
Nie miota nim smętą tęsknota ni trwoga,  
Bo żyje już życiem najczystszej miłości.

Ja ciebie żałuję, że płaczu doliną  
Iść musisz z tym krzyżem samotna, zboląta;  
Lecz jak liść jesienny, tak smutki przeminają.  
W obliczu wieczności—życie—chwilka mała.

Anielskiem skrzydełkiem musnę Cię po twarzy,  
Rozproszę, gdy zlecę, wszystkie tve tęsknoty  
Twe serce spokojem się świętym rozmarzy...  
Mateczko! to moję niebiańskie pieszczoty.

Gawłuszowice.

\* \* \*

# LUBRANCE

POWIEŚĆ

przez

Z N I C Z A.

(Dalszy ciąg).

Dnie mijały, a pani Zeneida tak umiała zająć siebie i drugich, że nikt nie zauważył, iż już drugi tydzień mija od jej przyjazdu. Lubraniecki prosił, żeby się czuła panią wszechwładną, i z góry zgadzał się na wszystko cokolwiek zadecyduje. Przyglądała się z zajęciem dzieciom i sposobowi ich wychowania. Niektóre szczegóły wcale — jej się nie podobały. Pani Wolska, niemłoda już osoba, która zajmowała stanowisko opiekunki, niebardzo sympatyzując z nauczycielką francuzką, była nieraz rada temu, że dzieci w czemkolwiek były zaniedbane lub opuszczone, uwydatniała tym sposobem brak opieki ze strony Mademoiselle Julia.

Mlle Julie uchylała się poza lekeyami od zajmowania się dziećmi, utrzymując, że to wchodzi w zakres obowiązków pani Wolskiej i dawnej ich bony, ta znowu twierdziła, że nie jest ich wyłączną dozorczynią, nie chce zatem przywłaszczać sobie praw, na jakich jest Mlle Julie i pani Wolska. Rezultat tego był taki, że dzieci powierzone trzem osobom nie miały prawie żadnej opieki. Z osób nowoprzybyłych najserdeczniejszą przyjaźń zawarła z niemi Jadwinia.

Jednego dnia Zosia, starsza dziewczynka była zakatarzona i w łóżku leżała. Jadwinia przez cały dzień dotrzymywała jej towarzystwa, dziecko było same i nudziło się pomimo, że pani Wolska znajdowała się w tym samym pokoju, ale ją całkowicie absorbowowała sprzeczka z boną i na Zosię nie zwracała żadnej uwagi.

Jadwinia się przypomniało jak nieraz w dzieciństwie tak samo chora w łóżeczku leżała, nudno jej było, straszno i smutno, bo pani Zeneida wchodziła do niej tylko na chwilę, wieczorem szła się bawić lub u siebie przyjmowała, a ona tymczasem leżała tak jakby sama jedna, bo w towarzystwie ponurej murzynki, w pokoju nawpół jedną małą lampką oświetlonym, a z kątów wysuwały się cienie i zaciebrały kontury sprzętów. Pamiętała, że w tych chwilach czuła się bardzo nieszczęśliwą. Odezuła wrażenia Zosi, i nie poprzestała jak inni na krótkiej chwili odwiedzin. Przeczytała jej jakąś historyjkę, podniosła stopy by światła wpuścić jaknajwięcej, zaśpiewała kilka wesołych piosenek, śmiała się i zabawiała dziecko, którego uśmiech lub błysk radości w oczach zdawał się rozjaśniać ponurą atmosferę dnia bezsłonecznego i jesiennego.

Dzień miał się ku schyłkowi, a Jadwinia ze zdziwieniem zauważyła, że żaden jej jeszcze w Lubrancach tak prędko nie przeszedł.

Wieczorem Zosia na kolację panią Wolską o mleko poprosiła.

— Dobrze, niech ci go bona przyniesie — odrzekła.

Minęła godzina od tej obietnicy, Zosi jeść się chciało, przechodzącą bonę zapytała o swoją kolację.

— Pewno już pani Wolska kazała ci ją przynieść — była odpowiedź.

Minęła druga godzina, o Zosi mleku nikt nie pomyślał.

Jadwinia wstała a w kilka minut później niosła sama przez salon, gdzie wszyscy siedzieli filiżankę z gorącym mlekiem.

— Komu ty to niesiesz? — spytał Lubraniecki zajęty graniem w pikietę z Mlle Julie.

— Dla Zosi — i Jadwinia znikła poza drzwiami salonu.

Pobiegł za nią wzrok Lubranieckiego pełen wdzięczności i rozczulenia.

— Jaka ona dobra! — myślał sobie — to złote serce, idealna z niej będzie żona i matka. Ona jedna biedną Zosię przez cały dzień jest zajęta.

Lubraniecki choć się rozczulał, tem, że ktoś jego dzieciom serce okazuje, jednak sam nigdy się niemi bliżej nie zajął i nie wchodził w ich potrzeby i położenie.

Kochał on je, nawet bardzo, ale na swój sposób. Gdy komu opowiadał, że są bez matki, łzy miewał w oczach, a ktokolwiek okazał im serce miał jego przyjaźń i życzliwość.

Tego wieczoru, zapisawszy na dzień serca bardzo wiele pięknych i gorących uczuć dla Jadwini, i zaspokoiwszy tem swoje ojcowskie obowiązki, powrócił do swojego poprzedniego rozpromienienia i zatopił się w kombinacjach pikiety. Mademoiselle Julie, jego partnerka była to osobka młoda, niska, przystojna i zwinna, w której małych, a żywych oczach, szybko i niepostrzeżenie, migwały czasem zalotne błyski i jakby jakiś spisek, figiel czy intryga, a w główce ozdobionej misternie ułożonymi loczkami przesuwwały się rozmaite zamiary i myśli, jakaś niewyraźna wizja przyszłości, może korona hrabiowska na jej biletach wizytowych... bo przecież wszystko jest możliwe, gdzie wakuje posada pani domu, a zdarzają się czasem rzeczy, o których się nawet filozofom nie śniło, tem mniej rodzinie Lubranieckich. Nie przypuszczała, że może się ktoś okazać mądrzejszym od filozofa. Pani Zeneida bowiem miała tego wieczoru z Szańską, co do Mlle Julie walną naradę i obydwie zadecydowały, że młoda i przystojna francuzka jest zupełnie w Lubrancach niepotrzebna.

Lubranieckiemu wytłumaczono pomału, że Mlle Julie pochodzi z południowej Francji i akcent ma bardzo niedobry, trzeba ją zatem paryżanką zastąpić, żeby dzieci mówiły poprawnie po francusku. I ku wielkiemu strapieniu Lubranieckiego Mlle Julie wyjechała w końcu miesiąca.

Dzieci zostały bez nauczycielki. Zaudzone, bez zajęcia błąkały się po pokojach, nie wiedziały co robić z czasem, którego nikt z niemi na naukę nie używał. Garnęły się do Jadwini, bo ona jedna współczuła ich opuszczeniu, swoje własne dzieciństwo mając ciągle w pamięci, nigdy nie odmawiała udziału w zabawie, spacerze lub szerokiej pogawędce, pomimo, że ją to nie mogło zajmować. Nareszcie dnia jednego oznajmiła Lubranieckiemu, że przez czas swego pobytu będzie się systematycznie dziećmi zajmowała.

Lubraniecki ze łzami w oczach jej dziękował, a później mówił do pani Zeneidy.

— Kłekać trzeba przed takimi kobietami, pełnymi serca i poświęcenia. Z każdym dniem odkrywam w Jadwini coraz więcej zalet.

Przykrości w parze chodzą. Niedługo po wyjeździe Mlle Julie Lubraniecki został wystawiony na drugą przykrość, ale zupełnie odmiennej natury. Tą przykrością była rozmowa, jaką miał z Szańskim o stanie jego interesów.

Szański ostatnimi czasy wyjeżdżał kilkakrotnie w sprawie sprzedaży swoich majątków. Raz wrócił więcej zamysłony i w złym humorze, unikał z żoną rozmowy, bał się, żeby go nie zapytała o stan interesów, które były opłakane z powodu koniecznej niekorzystnej sprzedaży. Zwłóczył z dnia na dzień oznajmienie jej smutnej rzeczywistości, nie chciał do ostatniej chwili odbierać jej swobody umysłu i wiary w jutro.

Wszyscy byli w salonie zgromadzeni, ale każdy w innym rogu czem innym był zajęty. Henryk siedział obok Jadwini.

— Jak tu nudno w tym salonie — rzekł. — Chodźmy lepiej do biblioteki, tam będziemy mogli swobodnie rozmawiać.

Biblioteka była jego ulubionym ustroniem do pogawędki z Jadwiną. Była to duża sala, do której rzadko kiedy kto zaglądał, u góry była galeryjka, jakby balkon, skąd było można dostawać książki najwyżej ułożone. Na galeryjce tej można było się znajdować nie będąc widzianym z dołu. Jadwinia i Henryk spędzali tam całe godziny.

Nikt na nich nie zwracał uwagi, Jadwina pierwsza wyszła nieznacznie. Henryk nie miał czasu podążyć za nią, gdy Szański rzekł do Lubranieckiego:

— Chciałbym z papą pomówić trochę o interesach. Czy papa może mi darować chwilkę czasu?

— Dobrze, ale może przejdziemy do biblioteki, — rzekł Lubraniecki z pewną niechęcią.

Henryk się zatrzymał, myślał, że Jadwinia spotkawszy się z tymi panami powróci niezwłocznie do salonu.

Ale Jadwinia była już na galeryjce i postanowiła czekać na Henryka. Nie wiadomo o jej tam obecności.

— Proszę papy — rzekł Szański gdy siedli obydwaj — muszę przyznać zupełnie otwarcie, że sprzedaż majątków zupełnie mnie rujnuje.

— Wola Boska, mój drogi, wola Boska. Ofiarujcie Panu Bogu ten krzyż i poddajcie się w pokorze.

Szański niecierpliwie przygryzł usta. Przypomniał sobie jak Lubraniecki mało zwykle okazywał poddania się i pokory, gdy niepogoda lub jaka inna przeciwność naraziła go na jakąś drobną stratę w gospodarstwie.

— Termin sprzedaży upływa już za dwa tygodnie, — ciągnął dalej. — Chłopi korzystają, że kupca żadnego dotąd niema, i chcą je nabyć za trzecią część wartości. Byłoby może dla mnie zbawieniem przedłużenie tego terminu, może jakiś lepszy kupiec mógłby się znaleźć. Otóż prosilibym bardzo, czyby papo nie mógł zrobić tego dla nas, pojechać do miasta i wyrobić nam przedłużenie terminu. Papo jako dworski honorowy urzędnik ma dużo znajomości i znaczenia, to mu to przyjdzie z łatwością.

Szański czekał na odpowiedź, ale Lubraniecki nie dawał jej tak prędko. Prośba zięcia zrobiła mu więcej przykrości aniżeli sam fakt ruiny. Był w kłopotcie, bo wypełnić jej wcale nie miał ochoty. Przesuwały mu się w myśli i ponure obrazy nudnej podróży, chodzenie po mieście dla odszukania dawnych znajomych, zabiegi, może bardzo uciążliwe o utrzymanie przedłużenia terminu, niewygodny i zmęczający na jakie mógłby być narażony a równocześnie wyraźnie w myśli mu się nakreśliło to wszystko, od czego na dni kilka a może i na więcej oddaliłby się musiał: wygody i nienaruszony spokój, towarzystwo tych pań, które jak mogły, tak mu czas umilały a przede wszystkim pożałował odjechać od Jadwini, oddalić się od jej uroku i wdzięku. Pożałował jej towarzystwa działającego jak narkotyk, pomyślał sobie, że szkoda choć na krótko odjeżdżać od tego cudnego południowego obrazka, który zdawał się być jakimś zabłąkanym promieniem słońca z pod nieba Italii lub Algieru, takim, który w swej jutrzence rozpala już i daje szal życia, bogactwo swego ognia znaczy na roślinach jaskrawymi barwami a u ludzi żarem w ich oczach i krwi. Taki promień słońca, zakłęty w postaci precudnej kobiety czarująco się uwydatniał i odcinał na tle starego lubranieckiego domu i smutnej pory zimowej. Nie. Szański zawiele od niego żądał.

— Mój drogi, — rzekł po chwili, — przed niczymbym się cofnął, by was ratować, jestem najszcześliwszy jeżeli komukolwiek usługę oddać mogę i nie uchylam się od niego, jeżeli wiem, że to się na coś przyda, ale w tym razie jestem pewny, że nic a nic nie będę mógł dla was zrobić. Wyszędłem już z dawnych moich stosunków, z resztą pewno i ci dawni znajomi pousuwali się, tak jak ja z szerszej widowni, nie znając tych nowych osobistości niechym ci zrobić nie mógł, wierz mi, mój drogi to byłby tylko trud stracony. Gdyby to było możliwe, nie uważałbym na żadne niewygodny i zmęczenia, dziśbym zaraz pojechał. Ty wiesz, że jestem zawsze gotów poświęcić się dla waszego dobra.

— To są tylko papy przypuszczenia, ale możeby wszystko inny obrót wzięło, gdyby papo poprobował, — odrzekł Szański, który usiłował mówić spokojnie, lecz jego policzki i oczy płonęły gniewem i oburzeniem. — Przecież to chodzi o papy córkę!

Lubraniecki był zakłopotany a wspomnienie córki zrobiło mu wiele przykrości. To też tej przykrości chwycił się jak deski zbawienia i na jej tle obżałowywać zaczął smutne Szańskich położenie, by nie mówić i nie myśleć o możliwości jego wyjazdu z Lubrańców.

— Widzisz, mój drogi, — ciągnął — co Pan Bóg przeznaczył przyjąć trzeba. Jeżeli tak przeznaczone, to ani mój wpływ ani nieczyj, nic nie pomoże, a walczyć z przeznaczeniem nie można. Zawsze

cokolwiek ci się zostanie. Założycie sobie małe gospodarstwo i przy pracy żyć będziecie mogli, — nagle straszne jak duch Komandora stanęło w myśli Lubranieckiego przypuszczenie, że może oni będą żądali, by on coś ze swojej kieszeni dołożył do tego małego gospodarstwa. Groziło niebezpieczeństwo.

— Bo widzisz, — ciągnął dalej, — w dostatku nie leży szczęście człowieka. Ludzie pracy przy małych środkach są zwykle najszcześliwsi, a poprzestawanie na tem co się ma, jest zaletą, którą nam w ludziach najwyżej ceni wypada. Jestem pewny, że wy, jeżeli gdzie na wsi na stałe zamieszkacie, w jakim małym skromnym domku, zrobicie w koło siebie raj ziemski, kontentować się będziecie tem, co wam Pan Bóg zesła a pracując cicho i z podaniem kochać się będziecie jak dotąd jeszcze nigdy. Wierzaj mi, że to będą najszcześliwsze lata waszego pożycia. Im mniejszem się człowiek kontentuje tem jest szczęśliwszy.

Lubraniecki roztaczał z zapałem obrazy sielankowego życia, sam się upajał ich barwami, zapominając o tem, że dla niego opływającego w dostatki, sielanka taka ma charakter dekoracji w operetce lub komedii, na którą on patrzy z daleka, tylko od czasu do czasu, naturalnie z łoża pierwszego piętra, broń Boże z kądną, ale dla tych, którym ją ofiarowywał była rzeczywistością, której przyjmować nie mieli wcale ochoty.

Nie mam jeszcze tak szczegółowych dalekich projektów rzekł Szański — w każdym razie zrobię wszystko co będzie w mojej mocy, żeby moja żona nie bardzo odczuła zmianę położenia. Nie narażę jej nigdy na to, żeby doznała braku tego do czego jest przyzwyczajoną. Pracować potrafię a pracą do wszystkiego dojść można.

— Bardzo piękny zamiar, mogę go tylko pochwalić.

Nie mieli już sobie nic więcej do powiedzenia, i powrócili do salonu.

„Egoista! Hipokryta!“ — szeptała Jadwinia, patrząc na Lubranieckiego, który znikł w drzwiach sąsiedniego pokoju. A więc Szańscy są biedni!... Zdanie to bezprzestannie kołatało się w jej myśli.

W jej przekonaniu bieda musiała być zawsze strzępami okryta, wynędzniała i wygłodzona. Gdzie nie było gór złota tam nie było życia, tam była rozpacz i śmierć. Nie znała żadnych innych ludzi, ich celów, ani tego przekonania, że praca jest celem, że uszczęśliwia i udoskonala człowieka, że zarazem uzasadnia jego byt na ziemi. Myślała, z wiarą prawdziwą, niezachwianą i dobroduszną, że jej przeznaczeniem na świecie zbierać i układać w piękne bukiety i równianki same tylko różnobarwne kwiaty życia, przyjemności, wygody, zadowolenie, wrażenia coraz to nowe i rozmaite, i myślała, że tego szczęścia dostaje się tylko za złoto, a, kto złota niema temu i żyć nie warto. I zaczęła Szańską w myśli obżałowywać serdecznie, jakby ze stratą majątku straciła szczęście i życie, jakby jej już zupełnie na świecie nie było. Myślała, że i Szańscy uważają się też sami za pogrzebionych żywcem w szarej monotonnej atmosferze biednych ludzi.

Wiara bezwzględna bez żadnych zastrzeżeń ani wątpliwości zaślepia swoich wyznawców. Jadwinia nie wiedziała jeszcze, że te kwiaty życia, które ją dotąd wabiły zdaleka takimi niby pięknymi barwami, a które chciała od świata za złoto kupować, to była sztuczna tandeta bez zapachu i życia, wykrojona hurtownie według szablonu konwenansu, to uczucia, w które nikt nie wierzy, uśmiechy bez wesołości, bezcelowe myśli i słowa ułożone w pstrą mozaikę, to słomiany ogień, blask sztuczny, ciepła nie dający, który wnet gaśnie zostawia tylko garść czarnej perzyny i ręce brudzi. Umysł jej kierowany rozbujała wyobraźnią rozumiał tylko same ostateczności. I naraz ruinę Szańskich otoczyła najczarniejszymi najtragiczniejszymi ramami, a tłem jej była rozpaczliwa nędza, której opisy czytała czasem w sensacyjnej powieści, lub wypadkach bieżących brukowego dziennika.

Wyobraźnia jej wciąż pracowała. W tej ciemnej otchłani nędzy zjawiał się nagle jeden promień światła, za nim drugi i trzeci, nareszcie robiła się wielka jasność. To ona się zjawia, hrabina Lubraniecka, tych nieszczęśliwych do siebie przygarnia, daje im trochę swego blasku; szczęścia, a skronie swoje ozdabia aureolą szlachetnego czynu.

I znowu w tem się okazuje wyższą nad tłum zwyczajny, gdyż miłosierdzie i szlachetność to jedyne nie spospolitowane jeszcze dotąd uczucia, dostępne tylko dla dusz wybranych.

Tak. Ale, żeby zostać hrabiną Lubraniecką trzeba być jeszcze wytrwałą i cierpliwą. Przeszedł jej na myśl Lubraniecki, od którego jej los zależał. Poznała go bliżej, przekonała się, że jest egoistą i hipokrytą, odpychał ją od siebie i przejmował obrzydzeniem. Instynktownie odwracała się od wszystkiego co niskie, ciemne i marne, w naturze, życiu i uczuciach.

Równocześnie niemiłe przypuszczenie przez myśl jej przeszło. Wszakże Henryk jest jego synem, może nie tylko majątek ale i charakter po ojcu odziedziczył? Nieby w tem nie było dziwnego.

Jadwinia zaczęła się zastanawiać nad charakterem swego narzeczonego. Tak. Henryk jest także egoistą i hipokrytą.

Jest egoistą, bo zamiast powiedzieć ojcu o swoich zamiarach milczy bezprzestannie, tylko dlatego by odwiec niemiłą może scenę i opór, gdyż Lubraniecki z biednej synowej pewno rad nie będzie; milczy, i widzieć tego nie chce, że jej przykrość tem sprawa, i że ta tajemnica już ciąży i nudzi. Jest hipokrytą, bo jej nie mówi szczerze przyczyny swego milczenia, ale się tem zastawia, że chce by jego ojciec poznał ją bliżej i sam zapragnął nazwać córką. Nieraz, gdy byli sami, miała na ustach żądanie by ją już raz wyprowadził z tego nieokreślonego położenia ale duma i delikatność zatrzymywały w krtani te słowa, które nigdy nie zostały wymówione.

Dnie w tej porze są bardzo krótkie, to też niedługo zmrok padać zaczął, zapełnił powietrze szaremi tonami, zniknęły w przestrzeni stojące przedmioty, zatarł się też i kontur rysów Jadwini. Ale ona tym razem zapomniała o ciemności, swojej nieprzyjaciółce. Oparta w zamysłeniu o barjerkę galeryjki nie wiedziała o otoczeniu. I myślała sobie, że jednak droga do dojścia do fortuny t. j. szczęścia, nie zawsze jest gładka, równa i szeroka, miewa czasem niespodziewane chropowatości i zagłębienia, ale z daleka na nią patrząc, nigdy się ich nie dostrzega.

Naraz drgnęła, ktoś ją niespodziewanie wziął za rękę.

— O czym tak myślisz, Jadwiniu? — spytał Henryk.

— O tobie — odrzekła tonem, który stosować było można do każdego uczucia.

Henryk stał obok niej i za rękę mocno trzymał, ale Jadwinia posiadała sekret, sobie tylko właściwych ruchów wężowych, któremi wywinać się umiała z najsilniejszego nawet uścisku. To też Henryk ani się spostrzegł, jak już stała oddalona o kilka kroków. Jadwinia wiedziała dobrze, że z większą siłą i naprężeniem woli chwytą się te stworzenia, które są śliskie i łatwo z objęcia wysunąć się mogą.

— Dziękuję ci za myśl o mnie — rzekł Henryk — chwala Bogu, że tu nareszcie sami być możemy. Nieprawdaz, że nam jest najlepiej na tej galeryjce. Jesteśmy sami, nikt nam nie przeszkadza, ja się tu czuję najszcześliwszym. Wiesz co mi na myśl przyszło? Jak już w Lubrańcach zamieszkamy i młodość nasza przeminie, będziemy tu przychodzili, żeby wywoływać wspomnienia tych chwil teraźniejszych. Ta galeryjka będzie dla mnie pamiętkową.

— Ciemno tu i ponuro odrzekła Jadwinia. Jednak pożałowała swojej uwagi, spostrzegła, że wyrzuciła przykrość Henrykowi, oddalając się od jego wrażeń i nie idąc za jego myślą.

Dodała też pośpiesznie i wesoło, a w głosie przebijającą serdeczność, którą wiedziała, że rozpędzi każdą chmurę z jego myśli:

— Wstydz się. Widzę z tego coś powiedział, że masz zamiar być niestałym. Co do mnie, jestem pewna, że będę cię kochała zawsze jednakowo i tak stale, by mi zawsze chwila bieżąca wystarczała.

A wtedy się dopiero do wspomnień powraca, jak teraźniejszość urok traci.

Zakołochani to najłatwowiejniejsi z ludzi, z wrażeń jakich im dostarcza ich ukochana odrzucają skwapliwie te, któreby im szczęście zmacić mogły, to też Henryk myśląc tylko o ostatnich słowach Jadwini czuł, że ją kocha więcej niż kiedykolwiek.

Mrok zapadał coraz większy, coraz gęściejszą warstwą oddzielał Henryka od jego zewnętrznego

otoczenia, a skupiał wszystkie myśli na jednej tylko Jadwini. I myślał, że oni dwoje, ponieważ są sympatją złączeni, to tworzą jedną istotę, jedną myśl i technienie, jedno pojęcie i uczucie; myślał, że gdy on mówi to i jej myśl tłómaczy, bo się kochali. Nie krępowany żadnym względem, wypowiadał jej się cały, ze wszystkiego co miał w sercu i umyśle. Powiedział jej, że jest stworzeniem dziwnem i skomplikowanym: Nie lubi samotności i boi się jej a równocześnie gwar tłumu wstrętnym mu jest.

Nie chce jednego i drugiego. Pragnieniem jego jest mieć zawsze obok siebie jedną tylko istotę, ukochaną i kochającą, przez którą i dla której żył. Ale o swoje szczęście będzie bardzo zazdrosny. Chciałby całe życie na wsi przemieszkać, zdaleka od gwaru i życia światowego, zajęty Jadwiną i pracą. Takie życie dawałoby spokój, który był idealnym celem dążeń Henryka, dawałoby — i swobodę, bo światowymi wymaganiami krępować się nie lubił.

Dotychczasowe jego życia składało się z gospodarstwa wiejskiego, polowania i hodowli koni i samotności w Woszatynicach, majątku w którym mieszkał. Teraz do tego trybu życia przybywała miłość; i zdawało mu się, że to uczucie, tak samo jak piękne kwiaty o cudnych barwach i zapachu, które stroją wybrzeża spokojnych jezior o niezmaczonej czystej tafli wodnej, ubarwi i urozmaici jego życie swobodne i szczęśliwe bez walk i burz. Będzie wtedy szczęście i spokój, troska chyba tylko ta jedna, że wszystko ma swój koniec i przemija.

I myślał, że to życie i dla Jadwini będzie szczęściem, bo przecież miłość ich jest jedna to i myśli i dążenia powinny być wspólne. Nie pytał jej nawet o nic, bo był pewny, że ją rozumie.

— Nie masz pojęcia — mówił — jak mnie nudzą i gniewają wszystkie światowe ceregiele. Według mnie teraz są najszczęśliwsze dni naszego narzeczeństwa. Pomyśl tylko, jakże to będzie nieznośne, kiedy już nas wszyscy za narzeczoną będą uważali, będziemy mieli wszystkiego oprócz nas samych. Ile to listów oznajmiających trzeba będzie napisać, wysłuchać powinszowań najczęściej nieszczerych i niemądrych, ciebie pochłonie wyprawa, a mnie narady o urządzeniu domu i życia. Jakież to wszystko nudne i niepotrzebne, a ludziom się zdaje, że bez tego kochać się nie można. Będziesz dla mnie stracona przez ten cały czas. Chciałbym terazniejszą naszą rolę przedłużyć, aż do dnia ślubu, chciałbym mieć ciebie dla siebie, a nie dla świata.

— Wstydz się, jesteś brzydkim egoistą — rzekła śmiejąc się Jadwina, a Henryk poza śmiechem niczego się nie dosłuchał. Nie przypuszczał, że to odezwanie, które za żart uważał, było jedyną prawdą, jaką mu tego dnia Jadwina powiedziała. I nie przypuszczał, że jeżeli w uczuciach i myślach byli o sto mil od siebie oddaleni, teraz ich dzieliły całe miliony, że ona do tego dążyła od czego się sam chciał usuwać, że to kochała i lubiła co jego nie zajmowało i nudziło.

Odgłos ożywionej rozmowy doszedł ich z sąsiedniego pokoju.

— Chodźmy zobaczyć co się tam dzieje, — rzekła Jadwina, gdyż jej już do światła tęskno było.

— Jak chcesz, — odrzekł Henryk i weszli do salonu.

Wszyscy zgromadzeni byli w około Szańskiej, która zakrywając sobie twarz rękami, serdecznie płakała. Szański przed chwilą długo z nią rozmawiał i powiedział jej szczegółowo o stanie ich interesów jako też, że na dłużej wyjechać będzie musiał dla ostatecznego ich uregulowania i wyszukania sobie jakiej posady. Szańska w odpowiedzi miała tylko uścisk konwulsyjny i potok łez, który zdawał się zatapiać wszystkie jej przyjemności, zabawy, bale i tualety, to wszystko, co jej się zdawało, że jest urokiem jej życia.

— Nie martw się tak, moje dziecko, — rzekł Szański, — ja się pracy nie boję, a póki tylko będę mógł pracować, moim jedynym będzie usiłowaniem, żebyś ty jaknajmniej odczuwała tę zmianę, która cię dotyka.

Szańska przez łzy na męża spojrziała. Wyobraziła go sobie wycieńzonego i zmęczonego pracą, może bardzo ciężką, do której nie przywykł a nagiąć się pragnął tylko przez przywiązanie do niej. znikły naraz z jej myśli wszystkie inne względy

bląhe i powierzchowne, pozostała jej tylko ta świadomość, że Szański jest dla niej wszystkim.

— Nie, ja nie nie chcę tylko być zawsze z tobą, — rzekła i płakać przestała.

„Jakaż mała kompensata“ pomyślała sobie Jadwina, która stała z boku i przypatrywała się tej scenie. „Czyżby to było miłością tą nadzwyczajną, wielką dla mnie niepojętą, o której ludzie też tak dużo mówią? Czyżby rzeczywiście istniała taka miłość, która za wszystko starczyć może?”

Szańska chciała choć w czemkolwiek mężowi przyjść z pomocą. Znikła z salonu, a za chwilę powróciła niosąc szkatułkę ze swojemi biżuteriami.

— Mój drogi, — rzekła, — posprzedawaj to, będą ci pewno pieniądze potrzebne. Dla mnie to wszystko jest zbyteczne.

Zdobyła się na największe, dostępne dla niej bohaterstwo.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

## RUCH MUZYCZNY.

Sfery muzyczne naszego miasta są obecnie w najwyższym stopniu zajęte sprawą orkiestry warszawskiej, która tak wybitnie zapisała się w kronikach artystycznych podczas trwania wystawy higienicznej. Kierownicy tej orkiestry, pp. Konopasek i Pilecki, wywiązali się z zadania bardzo dobrze i zasłużyli na istotną pochwałę. Pod ich batutą młoda orkiestra zgrała się doskonale i wytworzyła zbiorowe ciało nader wyrobione i przygotowane do wszelkich produkcji. Warszawa, która nie posiada własnej orkiestry stałej, teatralne bowiem nie mogą być wedle potrzeby na koncertach używane, — jest w możności stworzyć sobie obecnie nadzwyczaj dobrą, pełną zapału i świeżości orkiestrę, a tem samem posunąć się o wielki krok naprzód w artystycznym rozwoju.

Z powodu tej kwestyi, która, jak to zaznaczyliśmy powyżej, zajmuje bardzo melomanów naszych, p. Juljan Heppen, wyborny znawca wszystkich szczegółów, dotyczących życia społecznego lub artystycznego Warszawy, takie podaje wiadomości o dziejach orkiestry u nas.

„W r. 1869 i 1870, zebrałszy drużynę artystyczną, Adolf Sonnenfeld w sezonie zimowym rozpoczął szereg koncertów z dużym powodzeniem, w pałacu Dückerka przy ulicy Długiej, w lokalu, w którym pierwotkowo mieściła się „Resursa nowa“ (dziś obywatelska), a później „Harmonia.“ Przyjęcie jakiegoś doświadczenia stałe, ośmieliło go, że postanowił skompletować orkiestrę utalentowanymi miejscowymi artystami przy sprowadzeniu także i sił zagranicznych. Zawiódł się jednak, doprowadzwszy zamiar do skutku, po sześciu bowiem tygodniach niepowodzenia, lubo przychylnie o jego orkiestrze odzywały się głosy, stracił jakie kilka tysięcy rubli, czem zgryziony popadł w chorobę, cztery miesiące trwającą. W r. 1877 zaangażowano go do Rygi, Wilna i innych miast, znowu tedy złożył orkiestrę z sił miejscowych i obcych, i tym razem, oprócz pochwał znawców muzyki, materialne zyski osiągnął. Powróciwszy do Warszawy ze swem towarzystwem, zaczął tu na nowo pracować, nie pogody jednakże, stale trwające, niekorzystnie wpłynęły na usiłowania — i znowu stracił poważną sumę na tem przedsięwzięciu. Wywiązując się wszelako z kontraktu, jaki go łączył, udał się ze swą artystyczną drużyną do Piotrkowa, Częstochowy, Katowic i nakoniec do Wrocławia, gdzie przez miesiąc dawał koncerty, poczem rozstał się z członkami orkiestry. Gazety wrocławskie sympatycznie Sonnenfelda oceniły. Próbował następnie w r. 1882 grywać w Dolinie Szwajcarskiej z orkiestrą, z samych sił miejscowych złożoną, lecz ówczesny administrator tejże Doliny, otrzymawszy propozycję agentury zagranicznej, oświadczył Sonnenfeldowi, że zamówił orkiestrę ztamtąd, — miejsca tedy ustąpić jej był zmuszony. Rok 1894 przed przyjazdem cyrku Ciniselli'ego do pomienionej Doliny, był bar-

dzo pomyslnym dla orkiestry Sonnenfelda; doborowa publiczność zbierała się tam tłumnie, a nieraz przy niedzieli zgromadzało się do 2,500 osób, na symfoniczne zaś koncerty po 500. I w Bagateli następnie cieszyła się powodzeniem i uznaniem tak, że Sonnenfeld zyskał materialną pomoc od grona miłośników muzyki. Ci też zlecieli mu przedstawić plan utworzenia wyborowej orkiestry i takowy przyjęli; plan ten jednak w czyn się nie zamienił.“

Oby doświadczenie, zdobyte przez Sonnenfelda, było wskazówką jak postępować należy, aby zamiar utworzenia orkiestry doprowadzić do skutku! Tymczasowo orkiestra gra w Dolinie Szwajcarskiej; w Listopadzie towarzystwo łyżwiarskie użyczy jej sali do dawania koncertów. Sala będzie bardzo elegancka i niezawodnie zapełnią ją tłumy słuchaczy, spieszących z poparciem zawiązującej się u nas na stałe orkiestry.

Utrzymanie orkiestry wymaga rs. 20,000 rocznie. Towarzystwo muzyczne, w którym istnieje sekcja orkiestrowa, ze swej strony urządzi 12 koncertów w ciągu sezonu i od każdego zapłaci kapeli rs. 100. Oprócz tego pomyślano nad innymi środkami dochodów. Między innymi powzięto myśl dawania koncertów popularnych dla szerokiej publiczności co niedziela po południu. Od publiczności zależeć będzie, czy orkiestra ma rację bytu, — w każdym razie zrobiono dotąd wszystko aby zrealizować warunki istnienia naszej, warszawskiej kapeli. Życzę wypada tylko, aby ogół zrozumiał tę potrzebę i aby inicjatorowie sprawy oraz wykonawcy sami nie zrażali się niczem, tylko dążyli do skutecznego godnego pochwały projektu.

Pierwszy koncert popularny orkiestry warszawskiej miał miejsce w d. 25-ym b. m. w salach reductowych i wypadł pod każdym względem pomyslnie. Przedewszystkiem zaznaczyć trzeba, iż publiczność zebrana na koncercie należała do sfer wytwornych, czyli że instytutcy nowej orkiestry zdobywa sobie uznanie ludzi, mogących sprawę jej poprzeć. Z rzeczywistym zadowoleniem będziemy na tem miejscu notowali wzrost powodzenia i podnoszenie się coraz wyższe poziomu artystycznego młodej orkiestry, która, zaiste, zasługuje na najwyższą od nas wszystkich sympatię.

Bardzo utalentowaną pianistkę zaprezentowała nam na przedostatnim koncercie swoim towarzystwo muzyczne. Panna Ella Pancera, uczennica Leszetyckiego, zjednała sobie duży rozgłos w muzycznym świecie; o talencie jej dochodziły nas przychylnie wieści zarówno z Wiednia, jak i z innych miast europejskich. Istotnie, artystka ma wybitny talent, a jakkolwiek nie ośmielwiera interpretacją nadzwyczaj subtelną, wszelako gra nader przyjemnie i wywiera zupełnie dodatnie wrażenie. Charakteryzują tę grę: delikatne uderzenie, zasób sentymentu, poczucie rytmiki — a w pierwszym rzędzie znaczna doza siły.

Z pod palców panny Pancery koncert Griega wyszedł w formie starannie opracowanej. Również krakowiaki Noskowskiego wykonane były doskonale, jako też „Pieszczotka“ Chopina — Liszta. W wysokim stopniu pianistka zainteresowała słuchaczy „Hexameronem“, kompozycją składającą się z wariacji na temat duetu z „Purytanów“, ułożoną do spółki przez Chopina, Döhlera, Hertza, Liszta, Pixisa i Thalberga.

Kompozycya ta bardzo ciekawa po raz pierwszy, zdaje się była odtworzona na estradzie u nas. Wobec takiego programu, utalentowana artystka zapisała się dobrze w pamięci publiczności naszej i pozyskała względy słuchaczy.

Drugim solistą, któregośmy świeżo usłyszeli w towarzystwie muzycznym, był p. Zur-Mühlen. Jestto śpiewak, opanowujący audytorium czarem prawdziwym. Artysta posiada bardzo ładny głos tenorowy, ale po nad to ma w sposobie śpiewu coś, co poprostu zachwyca. Dykcya jest tu przepyszna, frazowanie przedziwne, temperament ognisty. Pan Zur-Mühlen interpretował cudownie pieśni „Ave Maria“ Tosti'ego, „Mistress Prue“ Molloy'a, „Rondo miłości“ Chaminade'a — i nad program Griega „Ja kocham cię.“ Publiczność przyjmowała artystę z rzeczywistym zapałem.

Kiedy tak na estradzie pięknie śpiewają i grają w operze nie możemy się doczekać entuzjastycznego przyjęcia. Jedyna gwiazda z włoskiego nieba, p. Pacini, nie może oświetlić całego widnokręgu

operowego—i gdyby nie takie utwory, jak „Verbum nobile“ Moniuszki, ustawicznie przyciągające licznych słuchaczy,—teatr Wielki bardzo często świeciłby pustkami.

O naszych artystkach zagraniczne donoszą piśma... dużo dobrego. Dawna znajoma Warszawy, p. Regina Pinkertówna, śpiewała z wielkim powodzeniem w Oviedo; w teatrze „Scala“ w Medyolanie, artystka wykona po raz pierwszy na tej scenie „Lakme;“ podczas zaślubin następcy tronu włoskiego z księżniczką czarnogórską, p. Pinkertówna wzięła udział w galowem przedstawieniu. Na włoskich scenach zdobywa sobie rozgłos młoda śpiewaczka, p. Helena Ehrenkrautówna, występująca pod pseudonimem d'Onori. Oprócz tego dochodzą nas wiadomości bardzo pochlebne o talencie młodziutkiej artystki warszawianki, p. Margot Kaftalówny, która znów w Niemczech święciła począzyna tryumfy. We wszystkich tych objawach artystycznych jest dużo pracy i rzetelnego talentu.

A. Dobrowolski.

## SIOSTRY NAPOLEONA.

Karolina Murat.

Księżna Bergu i Kliwii, Królowa Neapolu.

(1782—1839).

(Dalszy ciąg).

Nadzwyczajna uprzejmość Karoliny Murat, jedynając rządowi brata jej gorliwych stronników, zdołała pociągnąć nawet arystokrację francuską, trzymającą się dotąd zdala od koteryi cesarskiej. Najmłodsza też z sióstr Napoleona, była pod owe czasy, rzeczywistą ozdobą jego dworu. Niestety, powodzenie ją zepsuło. Prostota, jaką czarowali oboje Murat'owie, nie wypierający się bynajmniej skromnego swego pochodzenia, miała ustąpić wkrótce przed manją wielkości i politycznymi ambicjami młodej kobiety.

Podniętą do jednania sobie stronników, w armii szczególnie, była poniekąd nienawisć generałowej Murat do bratowej, Józefiny Bonaparte, oraz zazdrość o względy, jakie Napoleon okazywał synowi Hortensyi de Beauharnais.

Dla uwydatnienia stosunku tego, przytacza Turquan charakterystyczny szczegół, poczerpnięty z pamiętników pani de Rémusat \*).

Pewnego dnia, w Malmaison, wśród kółka ściśle rodzinnego, Napoleon zaczął huśtać na kolanach synka Hortensyi, a bawiąc się z nim, zawołał żartobliwie:

— Czy ty wiesz malcze, że czeka cię prawdopodobnie królewska korona?

— Czemuż w takim razie będzie nasz Achilles?— wtrącił obecny temu Murat.

— Och, Achilles!... Żołnierzem, czyż to nie dosyć?...—odparł Bonaparte, a widząc wrażenie, jakie wywołało na Murat'ach, pierwszeństwo oddane dziecku Hortensyi, nachylił się nad chłopcem i, jakby dla ukarania tej zawiści, dodał głośno:— No, mój maleńki, jeżeli ci życie będzie miłe, to radzę w każdym razie, nie przyjmuj nigdy zaproszenia na ucztę, jakiego dla ciebie wyprawiali twoi kuzynkowie.

Był to żart bolesny, upokarzający dumę i godność ludzką Muratów. Innym razem, cesarz, który po żołniersku bawił się ze swymi siostrzeńcami, wytargał zbyt mocno za uszy małego Achilla. Chłopię z bólu, podniosło pięść na niego. Napoleon, zamiast go rozbroić pocałunkiem, wymierzył dziecku silny policzek, co przypawiło Karolinę o łyżę gorzkie i atak nerwowy.

Byłyto drobiazgi, lecz one właśnie podsunęły myśl pani Murat, iż w obec niechęci cesarza dla jej dzieci, powinna sama o przyszłość ich się starać.

Znalazła więc jedną jeszcze podniętą dla wrodzonej jej ambicji.

Równocześnie, Napoleon, w nagrodę wojennych zasług Murat'a, mianował go wielkim marszałkiem Francji. To dolało oliwy do ognia.

Jako, więc ona, więc Karolina, siostra cesarska, zrównana została w oczach całej Europy, z taką marszałkową Lefebvre, która była niedawno wawandyerką i praczką; z taką marszałkową Brune eks-modystką? Tego już było za wiele. Ambicya przyszłej władczyni do żywego upokorzoną została.

Nie śmiała wytoczyć wojny bratu, lecz odniosła się z naleganiem do Talleyrand'a, do Fouché'go, żądając wyjaśnień, jakie stanowisko przeczyna on w państwie, najbliższym swym krewnym?

Jakby w odpowiedzi, na obiedzie galowym, zgromadzającym rodzinę po zamachu stanu, generał Duroc uprzedził poufnie wszystkich, iż Józefowi i Ludwikowi Bonaparte, oraz ich żonom, należy dawać tytuł książęcy.

Karolina—według pani de Rémusat—na obiedzie tym nie wzięła do ust, a powstrzymując z trudnością wybuch zazdrości i łez gorzkich, pochłaniała tylko, szklanek za szklanką, całe masy zimnej wody.

Napoleon uśmiechał się złośliwie.

Nazajutrz jednk stracił ochotę do... uśmiechu.

Karolina zrobiła mu scenę, wyrzucając wśród nerwowego płaczu, iż upakarza własne siostry kosztem innych przybyszek do rodziny. Cesarz nie lubił aby mu dawano nauki; gdy jednak pani Murat, po krzykach, błaganiach i zaklęciach zemdląca i, blada, leżała, rozciągnięta u stóp jego, postanowił nie ośmieszać swej rodziny podobnymi na przyszłość wybuchami.

Następny numer *Moniteur'a*, przyznał trzem siostrą Napoleona, tytuł: Cesarskich wysokości.

Teraz nie była już równa marszałkowej Lefebvre, owej słynnej eks-pracze. Tak nagłe wyniesienie, powinno było—zdaje się—zadowolić ambicję pani Murat, tymczasem zaostrzyło ją tylko, doprowadzając do stanu gorączkowego podniecenia. Wszystkie władze jej ducha zjednoczyły się odtąd, we wszechpotężnej a pochłaniającej myśli o dalszych zaszczytach, jakie zdobyć musi. Iść wyżej, coraz wyżej, bez względu na środki i cenę. Oto było dzisiejsze dążenie tej wyniosłej kobiety.

Aby mu więc prędzej zadośćuczynić, wyzyskała obecnie, zdobytą poprzednio popularność i stanęła na czele stronnictwa, przeciwnego cesarzowej Józefinie, wypowiadając jej głośną a zaciętą walkę, która, wrząc ciągle w rodzinie i kołach dworskich, stawała się także jednym z czynników rozkładowych, podkopujących, powagę cesarstwa.

Popularna wśród armii i dworaków, Karolina, baczna na wszystko, co jej mogło pośrednią lub bezpośrednią przynieść korzyść, postanawia z kolei zdobyć, wstępny bojem, przedmieście S-go Germana. Wracając więc do dawnej broni, do uprzejmości i usłużności, która teraz, ze strony księżniczki cesarskiego domu, podwójnej nabiera wagi i, słodzącą tą a dobrocią podbija opornych. Zwalcza ich, na własnym ich gruncie; nie proszona bowiem i niepytana, kierowana zaś jedynie „sercem niewieściem,“ tym skarbem nieocenionym, ujmuje w ręce swe sprawę skazanego margrabiego de Rivière, członka najwyższej arystokracji francuskiej, człowieka wysokiego stanowiska i—otrzymuje dla niego ułaskawienie. Zdobywa więc sobie wdzięczność wszystkich spokrewnionych z nim rodów, hołd ich złożony pani Murat, siostrze „uzurpatora,“ przywłaszczyciela, ustanawia rodzaj neutralnego pokoju, między czołem narodu a rządami cesarstwa.

Czyn piękny i szlachetny; nieprawdaz? Czyn godny zacnej i dobrej kobiety, a zarazem, krok bardzo dyplomatyczny, ze strony tej, która marzyła o zdobyciu dla siebie i swoich dzieci—tronu Francji. Ten spryt nadzwyczajny, ta zręczność dyplomatyczna, oddalała może właśnie od Muratów serce Napoleona.

Później dopiero przyszło mu na myśl, aby zdolności Karoliny wyzyskać dla siebie i dla cesarstwa; tymczasem jednak, obsypywał łaskami innych członków rodziny, nie widząc jakoby, iż czoło Karoliny czeka także na królewską koronę. Eugeniusz de Beauharnais był już wice-królem Włoch, Hortensya i mąż jej, Ludwik Bonaparte, panowali nad

Hollandyą; Joachim Murat zaś, małżonek Karoliny, nosił jedynie tytuł wielkiego mistrza kawalerii, *magister equitum* armii cesarskiej. Ona była przynajmniej księżniczką domu panującego; on—niczem na szachownicy tytułów i królewskich godności; pionkiem, czekającym by go ręka cesarska posunęła w którąkolwiek stronę.

Napoleon ulitował się wreszcie męczarniom siostry: odciał Bawaryi Wielkie Księstwo Bergu, a powiększywszy je księstwem Kliwii, piękny i bogaty ten kawał ziemi, z Düsseldorfem, położonym u ujścia Düsselu do Renu, jako główną stolicą, ofiarował Murat'om.

Taki ochłap nędzny, wobec obszarów cesarstwa francuskiego! Karolina czuła się wprost upokorzoną, zgnębioną... Na szczęście, przyszło jej na myśl, iż odtąd Murat, wielki książę Bergu i Kliwii, będzie należał do Związku Reńskiego, że przeto, jako szwagier cesarza Francji, może on w konfederacji tej wyrobić sobie naczelną a wpływowe stanowisko.

Niepokonana ambicya obojga, rozchwiała to marzenie.

W kilka miesięcy po ofiarowaniu korony wielkości siostrze i szwagrowi, Napoleon zaproponował, iż doda im jeszcze: księstwo Nassau i księstwo Dissemburg, jeżeli wzamian zwrócą mu ufortyfikowane miasto Wesel, położone nad Renem, a dość ważne dla obrony tej rzeki.

Zdawało się, iż przez poczucie wdzięczności, przez przyzwoitość samą, istniała tylko jedna odpowiedź: cesarz miał prawo rozporządzać, zarówno podarowaną własnością, jak osobami Murat'ów.

Byli oni jednak innego zdania.

Joachim Murat odpowiedział butnie, iż, wracając do mu Napoleon chciał odebrać Wesel, zamknie się wraz z załogą w fortecy, wytrzyma oblężenie lecz miasta nie odda. Cesarz zapamiętał częściej tę a arogancją przechwałkę, proszony zaś wkrótce później przez Karolinę o koronę Hiszpanii, odmówił jej stanowczo.

Karolina zrozumiała, iż uczynili krok fałszywy; odtąd więc wyteża całą swą zręczność i wszystkie siły dla zjednania sobie „rozdawcy koron,“ cesarza Francuzów. I tu, jak wszędzie, dosięga celu. Napoleon zaczyna wierzyć w jej zdolności dyplomatyczne i umysł wyższy. Gdy więc żeni, w Monachium, pasierba swego, Eugeniusza Beauharnais, z księżniczką Augustą Bawarską, wyposażając go w wicekrólewską koronę Włoch, pomija siostry swe: Elizę i Paulinę, a wzywa na uroczystości zaślubin księżnę Kliwii i Bergu, aby wobec starych patrycjuszów królewskich, reprezentowała godnie ród Bonapartych.

Staje się to odtąd jej specjalnością. Być może, iż wybór cesarza padał na nią z dwóch powodów: 1) bo była to jedyna z sióstr jego, ciesząca się dotąd nieskazitelną opinią moralną. 2) Bo Karolina umiała rzeczywiście imponować: taktem, przepychem w dobrym smaku i wrodzoną subtelnością umysłu, która ściierała z niej wszelkie cechy parweniuszki.

(Dalszy ciąg nastąpi).

## WIADOMOŚCI

Z HYGIENY I MEDYCYNY POPULARNEJ.

### Blednica, jej zapobieganie i leczenie

przez

D-ra Stanisława Kamińskiego.

Co jest blednica, wiadomem jest każdemu, przynajmniej w ogólnych zarysach. Jest to choroba krwi, objawiająca się blednością skóry i błon śluzowych, cerą białą, niekiedy żółtą. Prócz tego osoby cierpiące na blednicę zwykle mają osłabione organy trawienia, cierpią na bóle w żołądku, brak apetytu, upośledzone trawienie; wreszcie osoby takie są zwykle osłabione, męczą się łatwo, doznają

dusznosci przy wszelkim większym wysiłku fizycznym (np. przy wchodzeniu na schody). Choroba jest właściwą płci żeńskiej i rozwija się u kobiet, po większej części, w czasie dojrzewania płciowego. Jest to choroba dosyć ciężka, lecz kończąca się zwykle wyzdrowieniem, choć powroty jej zdarzają się dość często. Najlepszym środkiem na tę chorobę są preparaty żelaza i dobre odżywianie.

To są rzeczy każdemu znane, powiedziałbym nawet, na nieszczęście zbyt dobrze znane, dla tego, aby były lekceważone i albo wcale nie leczone, albo, co gorzej jeszcze, leczone według pewnego szematu, nieraz bardzo szkodliwego dla chorych. Otóż po pierwsze nie każda bezkrwistość, bledność skóry, a także połączenia objawów powyższych u dziewczyny dojrzewającej są koniecznymi oznakami blednicy. Nieraz mamy do czynienia z daleko gorszą chorobą np. t. z. bezkrwistością złośliwą, początkami suchoty i t. p. Charakterystyczną cechą blednicy jest brak barwnika w czerwonych ciałkach krwi wobec niezmiennych innych części składowych tej ostatniej.

Krew nasza jest to płyn koloru czerwonego, lepki smaku zasadowego (podobnego do mydła).

Płyn ten po wypuszczeniu z naczyń krzepnie t. j. zamienia się na galaretowatą masę, wskutek wytworzenia się t. z. włókniaka, ciała białkowego, którego w żywej krwi niema.

Jeżeli ten włókniak wydzielimy w pewien sposób ze krwi zanim zdąży on skrzepnąć, i postawimy pozbawioną włókniaka krew w naczyniu na pewien czas, to wytworzą się w niej dwie warstwy: jedna u spodu czerwona, druga u góry bezbarwna. Pierwsza z tych warstw są to t. z. czerwone ciała krwi, małe okrągłe komórki barwy czerwono-żółtej. Tym to ciałkom zawdzięcza krew swoją barwę. Im ich jest więcej tem krew jest czerwienista. A ilość ich jest niezmierna; w jednym centymetrze sześciennym krwi dosięga ona 5 milionów, czyli w całej krwi koło 30 miliardów.

Barwę swoją zawdzięczają czerwone ciała krwi zawartemu w nich barwnikowi *hemoglobinie*. Hemoglobina ta ma za zadanie łączyć się z tlenem powietrza w płucach i temu tlenowi zawdzięcza krew wychodząca z płuc t. z. krew tętnicza swą jasno-czerwoną barwę. Gdy krew tętnicza krąży po tkankach oddaje hemoglobinę im swój tlen i wraca do prawego serca pozbawiona pewnej części tlenu. Krew taka pozbawiona tlenu nazywa się żylną; w płucach staje się ona tętniczą przez połączenie się jej hemoglobiny z tlenem czyli utlenienie tej ostatniej.

Im mniej tlenu resp. powietrza znajdować się będzie w płucach, tem mniej hemoglobiny utleni się, tem tkanki ze krwi mniej będą mogły wydobyć tlen. Objawem tego stanu braku tlenu we krwi jest duszność z jednej, upośledzenie zaś odżywiania tkanek i przemiany materii—z drugiej strony. Jeżeli ustrój zostanie zupełnie pozbawionym powietrza przez czas paru minut, to nastąpi śmierć przez zaduszenie; jeżeli człowiek żyje przez dłuższy czas w powietrzu ubogim w tlen, to krew jego staje się mniej tętniczą, mniej zdolną do odżywiania tkanek; przemiana materii odbywa się wolniej; pewne produkty rozkładu nie mogą być utleniane i jako takie wydalone z ustroju; krew przesyca się kwasem węglanym i przez to zjawia się duszność, w mniejszym stopniu, niż przy zupełnym pozbawieniu powietrza, lecz za to trwająca ciągle. Wskutek złego odżywiania tkanek, cera staje się bladą, mięśnie słabymi i mniej zdolnymi do działania; źle odżywiony układ nerwowy staje się mniej sprawnym; praca fizyczna i umysłowa przechodzi z trudnością; bardzo szybko następuje zmęczenie i wyczerpanie; żołądek i kiszki pozbawione dobrej krwi odżywczej działają nieregularnie; zjawia się brak apetytu i upośledzone trawienie; brak należytego odżywiania całego organizmu i płuc spowodować może suchoty tych ostatnich.

Teoretycznie rzeczy biorąc, jest wszystko jedno, czy krew nie będzie mogła pochłaniać tlenu dla tego, że brak go w powietrzu nas otaczającym, czy też dla tego że w niej samej brak tej części składowej, która tlen z powietrza pochłania, czyli hemoglobiny. Dla tego to obraz chorobowy blednicy jest prawie zupełnie identycznym z obrazem jaki daje nam pozbawienie przez czas dłuższy organizmu dobrego, bogatego w tlen powietrza, o czem łatwo się przekonać, porównyując pobieżny opis objawów

blednicy z takim samym opisem objawów przy pozbawieniu dobrego powietrza.

Opisu szczegółowego objawów zajmującej nas choroby podawać nie będziemy, bo to nie jest rzeczą popularnego wykładu, natomiast zastanowić się musimy nad przyczynami wywołującymi powstanie blednicy.

Przyczyn tych jest moc nieskończona; można powiedzieć, że wszelkiego rodzaju szkodliwości w otoczeniu, skoro upośledzają odżywianie, powodują powstawanie blednicy. Na pierwszym miejscu postawić tu należy złe lub niedostateczne odżywianie—głód. Że brak pokarmów, lub pokarmy niewłaściwe wywołać mogą blednicę dowodzi częstota tej choroby wśród klas biednych. Pojąć to łatwo, jeżeli zważymy, że pokarmy w ilości odpowiedniej i właściwego składu są niezbędne do odnowy naszych tkanek, a więc i krwi. Pod względem dostarczania krwi ciał, z których powstać może hemoglobina, najważniejszym z pokarmów są ciała białkowe zawarte w mięsie. Lecz nie tylko brak lub zły gatunek pokarmów może być przyczyną upośledzenia odżywiania, a co za tem idzie czasami i blednicy, może również ta ostatnia powstać, gdy pokarmy są co do ilości i jakości odpowiednie, lecz organizm nie trawi ich i nie przyswaja dobrze. Ma to miejsce przy wszelkich zaburzeniach organów trawienia np. przy t. z. katarze żołądka i kiszki.

W ten sam sposób co brak lub nieodpowiednia wartość odżyweza pokarmów działać może brak świeżego powietrza, brak światła. W samej rzeczy, jakeśmy to widzieli, tlen odgrywa bardzo ważną rolę w odżywianiu tkanek naszego ustroju, brak więc tegoż w powietrzu może być przyczyną upośledzenia odżywiania, jak w naszym wypadku wytwarzania się blednicy wskutek niedostatecznej odnowy hemoglobiny. Co się tyczy światła, to rola jego w świecie zwierzęcym jest jeszcze zagadkową, faktem jest jednak, że zwierzęta wyższe bez światła żyć nie mogą. Dla tego to blednica rozwija się tak często u dziesięciolatkich w ciemnych mieszkaniach pozbawionych powietrza, w mieszkaniach, gdzie mieszka za dużo ludzi.

Dla tego, aby pokarmy mogły być należyte zużytkowane, potrzeba, aby organizm wykonywał pewną ilość pracy fizycznej. Ponieważ praca fizyczna zużywa tkanki naszego ustroju, ponieważ pobudza czynności oddychania i krwi obiegu, więc przyczynia się ona do szybszej przemiany materii, do zastąpienia dawnych składowych części ustroju przez nowe.

W ten sposób praca fizyczna jest bodźcem silniejszego utleniania krwi, bardziej nateżonej czynności hemoglobiny, a więc prawdopodobnie i jej wytwarzania. Ma tu miejsce prawdopodobnie ten sam proces co z wytwarzaniem się nowych włókien mięsnych przy pracy fizycznej. Że tak jest możemy sądzić z tego, że brak pracy fizycznej: życie siedzące, nadmiar pracy umysłowej powodują bardzo często blednicę. Dla tego to ta choroba jest tak częsta wśród młodzieży szkolnej na pensjach żeńskich. Że nie działa tu wyłącznie brak dobrego powietrza, dowód w tem, że blednica jest chorobą bardzo częstą w zakładach naukowych posiadających odpowiednią wentylację, gdzie klasy są dość duże i widne.

(Dokończenie nastąpi).

## DOM LONDYŃSKI.

Dom, który mam zamiar opisywać, nie leży w bardziej eleganckiej dzielnicy miasta na *Grosvenor Square* lub *Mayfair*, i nie rozporządza 5 upudrowanymi lokajami, nie jest to również zwyczajny dom zamożniejszego człowieka; biorę przeciętny dom w zaiszniej pięknej ale nie pierwszorzędnej ulicy przy *Kensington Gardens*. Sama zaś ulica zasługuje na uwagę. Jeżeli np. w jakimś niemieckim wielkim mieście spotkać można jakiś pałacyk myśliwski, a tuż obok niego wspaniały budynek w stylu gotyckim lub odrodzenia, to tu przeciwnie,

każda ulica stanowi zamkniętą w sobie całość. Czy domy te sięgają początku tego wieku, czy też są to nowożytnie budowle z ogrodem lub bez niego, jeden podobny jest jednak do drugiego jak dwie krople wody. Rozmaitość nie daje się nawet spostrzeżać wewnątrz, rozkład bowiem ubikacji jest we wszystkich domach jednakowy. O jednej i tej samej porze siadają wszyscy do śniadania, lub obiadu. I gdyby jaki czarnoksiężnik usunął w jednej chwili boczne ściany domów, ujrzelibyśmy w każdym z nich panią domu o jednej i tej samej porze przy biurku, a o godzinie 5-iej przy samowarze. I wydać się nawet może śmiesznym, co się jednak zgadza z prawdą, że jednym kluczem utworzyć się dadzą wszystkie bramy jednej ulicy. Opowiadają też na ucho o licznych i przykrych *qui pro quo* małżonków, wracających późno do domu, zwłaszcza w stanie lekkiego podniecenia.

Byłoby naturalnie rzeczą błędną, na podstawie tego ogólnego podobieństwa i jednorodności sądzić, że w Anglii wszystko jest konwencyonalne. I tu, jak w ogóle z tamtej strony kanału, sprzeczności leżą często bardzo blisko siebie. Każdy używa widelec i noża w ten sam surowo przepisany sposób, każdy jest równie grzeczny, używając zwrotów mowy nakazanych przez dobre wychowanie. W obrębie jednak tych granic rozwija się każdy samodzielnie, stosownie do swych skłonności i zdolności; pod tą jednorodną powłoką zewnętrzzną dopatrzeć się można wielkiej różnorodności charakterów tak w dobrem, jak i w złym znaczeniu.

Oto właśnie na odgłos dzwonka *Parlour-Maid* otworzyła drzwi. Ubrana w gładką czarną suknię, białą fartuszek, takiż kołnierzyk i mankiety, w ozdobnym białym czepeczku na głowie przedstawia ona również typ oryginalny! Gdybyśmy przyszli przed lunchem, coby się tylko stosunkami bardzo zażyłymi usprawiedliwić dało, wtedy zobaczylibyśmy ją w jasnej perkalowej sukni, takiej, jaką kucharka i piastunka dzieci przez cały dzień mają na sobie; ta ostatnia przed wyjściem do miasta stroi się w czarną kaptokę z białymi wstążkami. Jest to strój obowiązujący tu dla wszystkich piastunek bez wyjątku, jak mundur.

Gdy się tylko drzwi za nami zamknęły jesteśmy *at home* Zimnego podziemia nie ma tu wcale; klatka schodowa należy do ubikacji mieszkalnych i ciągle bywa używana. Domy w Londynie mają zwykle szerokość 2 do 3 okien. Pokoje mieszkalne nie leżą obok siebie, lecz nad sobą, a klatka schodowa łączy je. Cała też zasłana jest chodnikami, drzwi prowadzące do pokoi osłonięte są portyrami, okna firankami koronkowymi. Wazony chińskie i obrazy porozwieszane na ścianach zdobią to miejsce, które na pierwszy rzut oka daje nam poznać artystyczny smak mieszkańców.

Stoimy jeszcze u dołu przed drzwiami. Pokój jadalny leży tuż obok na lewo. Jesteśmy rannymi gośćmi a nadto niedyskretnymi, trafiamy bowiem na pierwsze śniadanie, które się składa z herbaty i zawsze prawie z jaj. Stół ozdobiony być musi o każdej porze roku świeżymi kwiatami. W pokoju tem spożywany bywa między 1 i 2-gą ciepły lunch a między 8 i 9-tą obiad (*dinner*).

Południowe to śniadanie jest bardzo oryginalne; stanowi ono rodzaj uroczystości dla rodziny, choćby u niej nie było nawet nikogo obcego. Każdy zmienia doń toaletę, bo zasiąść do lunchu w ubranii spacerowym jest w Anglii rzeczą wprost niemożliwą. Podczas gdy starsza generacja przywdziewa tużurki, to młodzież zasiada do stołu zawsze we fraku, w białym krawacie i półtrzewikach; strój taki przepisany jest dla młodych równie jak i dla starszych przy wszelkiego rodzaju proszonych obiadach nawet w kołach najzażylszych. Wszystko co piękne i wesołe zachowuje się na tę godzinę, która należy do rodziny.

Obok pokoju jadalnego znajduje się na dołnem piętrze jeszcze gabinet pana domu i pokój szkolny, jeżeli tenże jest potrzebny.

O piętro wyżej leży t. zw. *drawing-room*, pokój zastępujący salon, umeblowany elegancko z mnóstwem książek, fotografii i rozmaitych innych drobnostek, które tchną życie w puste miejsce. Kolonie zamorskie dostarczyły tu ozdobnych wyrobów z trzciny bambusowej, towarów chińskich, wschodnich tkanin, wyrobów z kości słoniowej i t. p. Ubikacje, które do tego *drawing-room* przytykają, stano-

wią również pokoje recepcyjne, w których utrzymanie porządku należy do *Parlour-Maid*. Funkcje pokojówki zaczynają się dopiero o jedno lub dwa piętra wyżej.

Rozciągają się one na pokoje sypialne i gościnne. Obok angielskiego małżeńskiego pokoju sypialnego znajdować się musi nieodzownie szatnia, która należy do męża. Wielkie wspaniałe łoże stoi w sypialni.

Ozdoba są tu również olbrzymie szafy i toalety.

Należy do dobrego tonu być zaraz po przybyciu z podróży zaproszonym na filiżankę herbaty do *drawing-room*. Po wejściu do przeznaczonego pokoju gościnnego zastajemy już wszystkie nasze rzeczy ułożone w wzorowym porządku. Panie, które wiele podróżowały po Anglii, zapewniają, że nigdzie układanie tych rzeczy nie odbywa się z większą znajomością i dokładnością niż tu; że nie było wypadku, ażeby przedmiot, który powinien stać na szafce nocnej, znalazł się na toalecie. Jest to tajemnica dobrze wyszkolonej służby, od której się wymaga, by zawód swój znała i wykonywała go z zamiłowaniem tak jak np. nauczyciel lub ktoś inny, kto pracą czy to umysłową czy fizyczną zarabia na swoje utrzymanie.

O godz. 8-jej rano przynosi służąca wodę do mycia i podnosi stopy. Przed lunchem i obiadem przynosi również dzbanki z zimną i gorącą wodą; płaszcz do fryzowania wisi na krześle, płomień gazowy po obu stronach zwierciadła zapalony, strój wieczorowy spoczywa na łóżku. Dzwonek jest w obec tego zbyteczny.

Oddając należne pochwały służbie, chwalimy tem samem i chlebobawców. Nigdzie na całym świecie wzajemne na siebie oddziaływanie służby i chlebobawców nie jest silniejsze, jak tu w Anglii. Kobieta angielska mająca do rozporządzenia taką służbę może się też czem innem zajmować, aniżeli gotowaniem i pielęgnowaniem dzieci; może kształcić swój umysł, pracować dla społeczeństwa, bawić się polityką, hołdować zdrowemu sportowi i być nietylko dobrą gospodynią lecz i dobrą małżonką, co stanowi bardzo wielką różnicę. Że jednak ma taką służbę, zawdzięcza to tej okoliczności, że daje jej zupełną swobodę w wykonywaniu swego powołania, że obchodzi się z nią, jak z istotami myślącymi, a nie jak z automatami. Służba angielska stoi znacznie wyżej aniżeli służba w innych krajach. Jest ona dumna z swej pracy. Pani, która sama lubi stać w kuchni, nie znalazłaby kucharki, a gdyby chciała usiąść w neglizżu do śniadania, wtedy widok jej własnej schludnie ubranej służącej, byłby jej niezawodnie przykrym.

Mieszkanie służby położone jest w suterrenach i ma osobne wejście od ulicy. Kuchnia wielka i schludna, obok niej t. zw. *scullary* praczkarnia, w której pracuje dodana do pomocy kucharec *scullary-maid*, podczas gdy *pantry* należy wyłącznie do *parlour-maid*, która tam przechowuje zastawę srebrną i naczynia stołowe.

*Larder* uważane często błędnie za spiżarnię jest właściwie czemś innem, służy bowiem do przechowania resztek pozostałych z śniadania i obiadu. Jest to mały pokój z kamienną podłogą i dobrą wentylacją. Tu znajduje się również lodownia używana tylko do masła i słodkich legumin nigdy jednak do mięsa. Do przechowywania większych zapasów produktów spożywczych służy t. zw. *store-room*, od którego klucza są w posiadaniu pani domu. Codziennie o godz. 10-jej rano pokoje te są już czysto, o tej bowiem godzinie schodzi tu pani domu dla wydania dyspozycji na cały dzień. Myliłby się bowiem, ktoby uważał dom angielski za rodzaj dobrze urządzonego hotelu, w którym gospodyni jest tylko gościem. Główny nacisk na wszystkie koła, które wprawiają w ruch tę skomplikowaną maszynę, spoczywa w ręku pani domu, koła te je-

dnak są dobrze naoliwione i funkcyonują bez hałasu.

Kucharka rozprawia się następnie z dostawcami dostarczającymi produktów spożywczych na książeczki co tydzień spłacane. Oryginalną jest rzeczą, że przy wypłatach tych pieniądze nie są wcale w użyciu.

W Londynie, odległości są zbyt wielkie, i zbyt wiele zajęłoby czasu, gdyby się chciało załatwiać obstalunki osobiście, dzieje się więc to listownie za pośrednictwem poczty. Pieniądzy się przy tych obstalunkach nie posyła, lecz tylko czek. Wszystkie wypłaty dokonywają się za pomocą czeków, służba otrzymuje pensję swoją również w czekach.

Wynagrodzenie służby jest stosunkowo bardzo wysokie. Kucharka w domu, który opisujemy otrzymuje rocznie 40 funt. szter., *parlour-maid* 25 f. szt. Do tego dodać należy tygodniową należytość za pranie, którą otrzymuje wprost praczka. Pranie nie odbywa się bowiem nigdy w domu.

Dym węglowy sprawia, że czystość jest wielkim zbytkiem. Angielskie sutereny służyć jednak mogą za wzór czystości.

Oprócz wyżej opisanych pokoi gospodarskich mieszczą one także ubikacje mieszkalne służby.

Pokoje te zwane *sitting-room* są rozmaitej wielkości, stosownie do zamożności domu, nie brak ich jednak nigdy. Umeblowane są schludnie, niekiedy nawet elegancko.

Oprócz naczyń stołowych używanego przez rodzinę w każdym domu musi być także naczynie przeznaczone specjalnie dla służby. Angielska służąca nie zasiadałaby nigdy do nienakrytego stołu. Gdy już skończyła usługiwanie państwu, schodzi na dół i zasiada wspólnie z resztą służby do obiadu trwającego około godziny, w którym to czasie państwo pozostawiają im zupełną swobodę. Podczas obiadu młodsza służba obsługuje starszą.

Znaleźć można i tu, rzecz prosta, takie domy, które się źle ze służbą obchodzą. W ogóle jest jednak stanowisko ludzi tej klasy daleko mniej zależne, aniżeli gdzieindziej. Na tego rodzaju wzajemnym stosunku wychodzą obie strony bardzo dobrze. I wszystko to zawdzięczają Anglii swemu wybitnemu talentowi organizacyjnemu, który i w urządzeniu domu wpada w oczy. Angielska służąca nie tknie niczego, co pozostało na talerzu chlebobawców, i nie będzie też pokryjomy w kuchni karmiła swego „strażaka.“ Nawet miłość, która w suterrenach angielskich równie obficie zakwita, jak i w naszych kuchniach, ma tu zupełnie inne cechy.

„The young man“ nie przyjdzie nigdy do domu, w którym służy pani jego serca.

Spotkanie następuje na gruncie neutralnym, a niedziela to dzień upragnionego *tête à tête*. Służąca rozwija przytem często ośniewający zbytek. Nie należy jednak zapominać, że przez cały tydzień pracuje ciężko i że jej, jako nieodrodnej córce Ewy, nie obca jest chęć podobania się.

W każdym razie służąca angielska przyczynia się wielce do nadania domowi angielskiemu tej cechy, jaką on ma. W domu ogniskuje się życie Anglika. „*My house is my castle*“ powiada przysłowie. Ztąd to pragnienie mieszkania samemu, choćby domek był nie wiem jak mały, schowania się po za drzwi, jak po za wał jaki, który oddziela od wrogiego świata. Nowy zwyczaj wynajmowania jednego *flat*, piętra, nie jest wcale angielskim. Sprzeciwia się on wewnętrznemu pragnieniu mieszkańców Albionu, którzy swoją ojczyznę, jak jeden wielki *home* falami oddzielają od wszelkiego zetknięcia się z obcym światem.

Na cudzoziemcu domy angielskie pozostawiają nigdy niezatarte wrażenie. Ujrawszy je z bliska pozbędzie się niejednego przesądu, z którym wybrał

się na drugą stronę kanału i z przyjemnością wspominać będzie chwile spędzone przy kominku w domu angielskim.

A. D.

## Z bieżącej chwili.

— Ministerjum spraw wewnętrznych otrzymało za pośrednictwem J. E. warszawskiego Generał Gubernatora podanie właścicieli ogrodów w Królestwie Polskiem o ustanowienie w Warszawie jarmarku na owoce. Jarmark taki odbyć się ma w połowie listopada b. r.

— Na odbyć się mającym w Kijowie zjeździe lekarzy i przyrodników wypracowany ma być program wycieczek historyczno-przyrodniczych dla uczniów średnich zakładów naukowych.

— W Warszawie zmarł wybitny przedstawiciel świata prawniczego, prezes departamentu cywilnego izby sądowej ś. p. Michał Rogoziński. W pogrzebie zgasłego męża wzięły udział wszystkie sfery inteligencji miejscowej, na trumnie zaś zmarłego spoczęły liczne wieńce.

— W Radomiu zmarł ś. p. Eugeniusz Skrodzki, znany autor, pisujący pod pseudonimem Wielista-wa. Ś. p. Skrodzki pisywał między innymi w naszym „Bluszczu.“ Niech odpoczywa w pokoju.

— Na ostatniem posiedzeniu towarzystwa przeciwzembraczego w Warszawie odczytano sprawozdanie rachunkowe, z którego dowiedzieliśmy się, że w domach zarobkowych pracowało od 1 stycznia do 1 października b. r. 26,729 biednych. Wypłacono im za robotę rs. 5,107 kop. 35. W przytułkach noclegowych nocowało w ciągu 9 miesięcy 230,769 dorosłych i 11,959 dzieci, czyli przeciętnie po 845 dorosłych i 44 dzieci na jedną noc. W garnkuchniach wydano porej 1,482,660, czyli dziennie po 5,439. Wymowne to, zaiste, cyfry, dowodzące, jakiżytek przynosi wyżej wspomniane towarzystwo. Przewodniczył zebraniu wice-prezes towarzystwa ks. Chelmiński.

— Cuda dokonane przez Fileasa Fogga, bohatera powieści Juliusza Vernégo „Podróż na okołoziemi w osiemdziesięciu dniach“ przejdą wkrótce w dziedzinę wspomnień historycznych. Z chwilą bowiem otwarcia ruchu na kolei Syberyjskiej, przejażdżkę tę odbyć będzie można w czasie o połowę krótszym, a mianowicie w 40 dniach. Podróż np. z Wiednia do Petersburga a następnie 10,000 klm. długą koleją Syberyjską do portu Artura zajmie 12 dni; od portu Artura do San-Francisco kursować będą parowce pospieszne rosyjsko-amerykańskiej żeglugi parowej, które odległość tę przebywać będą w 7 dniach, co czyni razem dni 19; drogę z San-Francisco, koleją Pacific przez New York do Londynu odbyć można dziś już w przeciągu 20 dni, razem więc dni 39. Pozostały 1 dzień wystarczy do odbycia drogi z Londynu do Wiednia. Koszta takiej podróży wyniosą około 750 rs.

— W Wiedniu zmarł kompozytor muzyczny Antoni Bruckner. Gmina miasta sprawiła mu w uznaniu zasług wspaniały pogrzeb.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się: ark. 5 powieści p. t. **Dora**, przez Henryka Gréville. Przekład z francuzkiego.

**TREŚĆ:** Pogawędka, przez ??—W dniu zadusznym, przez \* \* \*.—Lubrańce, powieść, przez Znicza (dalszy ciąg).—Ruch muzyczny, przez A. Dobrowolskiego.—Siostry Napoleona, przez Anatola Krzyżanowskiego (dalszy ciąg).—Wiadomości z higieny i medycyny popularnej, przez D-ra Stanisława Kamińskiego.—Dom londyński, przez A. D.—Z bieżącej chwili.

**Dodatek obejmuje:** Dora, powieść, przez Henryka Gréville. Przekład z francuzkiego, ark. 5. — Przegląd mód. 20 wzorów i robót z opisem. — Sekreta gospodarskie.—Dyspozycya stołu.